

Głowa o stolik

kronika wypadków medialnych



JERZY GRUZA

Jerzy Gruza

GŁOWĄ O STOLIK KRONIKA WYPADKÓW MEDIALNYCH

Zapiski rozproszone i na powrót złożone

Monolog zewnętrzny

Zjadanie wspomnień

Ulisses warszawski

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-52-1

Copyright © Jerzy Gruza 2013

Projekt okładki: Iwona Białas

Foto na okładce po lewej stronie: Jerzy Gruza (1967), autor: Romuald Pieńkowski, licencja: FilMOTEKA Narodowa.

Foto na okładce po prawej stronie: Jerzy Gruza na planie filmu „Przeprowadzka” (1973), autor: Jerzy Troszczyński, licencja: FilMOTEKA Narodowa.

* * *

Jerzy Gruza: reżyser, aktor, autor, były dyrektor Teatru Muzycznego, człowiek o cynicznym podejściu do życia, ale o wielkim złotym sercu – według kolegów cyników.

„Wojna domowa”, „Czterdziestolatek”, „Tygrysy Europy”, „Dzięcioł”, „Rewizor”, „Romeo i Julia”, „Skrzypek na dachu”, „Jesus Christ Super Star”...

Teraz pisze, bo ma z czego żyć.

Podpatrzone, podsłuchane, zmyślane:

Kiedy znów znajduję, że nie ma mnie na liście najbogatszych Polaków, trzaskam drzwiami i wychodzę... do pracy.

Zjadanie wspomnień. Wychodzę z kawiarni „Czytelnika” na Wiejskiej... Chwilę się zastanawiam. Skręcam za róg na prawo, ulica Frascati. Rozpoczynam jak bohater „Ulissesa” Joyce’a podróż po Warszawie, metodycznie z planem miasta w głowie, jak on po Dublinie. Nie wiem, kim jestem, Stefanem Dedalusem czy Bloomem? Nie ma to znaczenia.

Nagle widzę starszą panią pomarszczoną jak cytryna. Wróciła z Włoch. Wyszła przed laty za starego włoskiego arystokratę. Była bladą, wątłą dziewczynką zaraz po maturze. Wyjechała. Zniknęła. Pozostała ta twarzyczka trójkątna i jasne włosy. Teraz jest koszmarem.

W perspektywie ulicy Frascati willa. Na parterze mieszkał z żoną i córką brat Jerzego Mierzejewskiego, Andrzej, też malarz. Odwiedzałem córkę jako młody człowiek. Kochałem się w jej koleżance, której szukał stale ojciec. Zamykaliśmy ją w szafie, gdy nieoczekiwanie wpadał do mieszkania malarza. Robiliśmy w tej szafie coś podobnego do stosunku.

Obok na tyłach willi czteropiętrowy nowy dom. Na drugim piętrze mieszkał Gomułka po wyjściu z więzienia w 56 roku. Zdumiewał skromnością wymagań lokalowych. Ubegy pilnujący go ukrywali się w pobliskich krzakach. Cięły ich komary jak zwykłych ludzi. Słyszeć tylko było klask...klask... odgłosy ich zabijania na twarzy, na karku, na nogach. Cierpienie dotyka też „resortowych”.

Park i w dole blok, gdzie mieszkali Kobielowie. Małe mieszkanko dwupokojowe. Ale Kobiela przy wychodzeniu po wspólnej kolacji zawsze mówił: – Przepraszam panów, ale muszę was policzyć, czy czasem któryś nie został w sypialni żony.

Na prawo szczątki dawnego basenu Legii. Towarzystwo mieszane. Niektórzy z nich dzisiaj w czołówce polskiego biznesu, polityki, kultury. Niektórzy zostali tam, gdzie byli, albo poumierali. Na basenie zbierali się wszyscy... Wuj Rzeszotarski, jego dziewczyny i królująca nad basenem... „Kwiaciara”. Była to obfita blondynka z niespożyтым apetytem na seks. Przechadzała się nad basenem i wtedy chłopcy dla żartu popychali ją w sztucznej niby to gonitwie do wody a jej peruka odpływała daleko od brzegu. Ratowanie peruki, śmiechy i kpiny. W słynnej „Kameralnej” na Foksal, gdy umówiła się z jakimś młodym człowiekiem poznanym na basenie, przychodził mąż z pobliskiej kwiaciarni, jednym ruchem zrywał jej perukę i niewierna żona zostawała z łysą głową naprzeciwko kochanka. Ciąg dalszy łatwo zgadnąć. Ciągu dalszego z łysą i młodym człowiekiem już nie było.

W kierunku pałacu Księżąt Mazowieckich korty tenisowe, dzisiaj pokryte płytami betonowymi a nad nimi Trasa Łazienkowska. Na tych kortach przed wojną grał Bohdan Tomaszewski jako mistrz juniorów przedwojennej Warszawy, a po wojnie ja z Adamem Hanuszkiewiczem niewprawnie uprawialiśmy ten sport dżentelmenów. Kiedyś wygrałem z nim zdecydowanie i gdy chwaliłem się wynikiem 6:2, 6:3, Hanuszkiewicz przyznał mi pierwszeństwo, ale powiedział z przekonaniem: – Tak, ale ja byłem piękniejszy w poruszaniu się na korcie. Cały Adam!

W pałacu Księżąt Mazowieckich na parterze mieściły się biura budowy Trasy Łazienkowskiej. Kiedy z drzeniem w nogach przynieśliśmy tam pierwszy scenariusz „Czterdziestolatka” do akceptacji, dyrektor po przeczytaniu tekstu zapytał: – Skąd panowie to wszystko wiecie?! – Wystarczyło mieć kontakt z pierwszym lepszym malarzem pokojowym, murarzem, kierowcą czy kierownikiem budowy aby to wszystko wiedzieć. A z ministrem czytając „Trybunę Ludu”.

Kawiarnia Na Rozdrożu, za nią w kierunku Marszałkowskiej klub „Scena”, który ściągał tłumy w piątki i soboty. Zdarzyło się, że na któregoś Sylwestra sprzedano przez pomyłkę o 300 kart wstępu więcej niż mógł pomieścić klub. Wściekła publiczność polewała mnie i moją współpracowniczkę szampanami tak, jak na zakończenie rajdu Formuły Jeden. Też rzucano w nas

butelkami. Ledwo uszliśmy z życiem. Następnego tygodnia zwracaliśmy pieniądze. Ale to był klub, gdzie przy barze można było spotkać najbogatszych polskich biznesmenów i najbiedniejszych artystów. Oraz studentki oczywiście marketingu i zarządzania. Barmani nie lubili najbogatszych, bo nie dawali napiwków i zamawiali jedną colę na trzech. Na szczęście przychodzili też biedni.

Na Litewskiej teatr „Syrena”, gdzie od razu poznawano mnie po śmiechu na widowni. Śmiałem się w najbardziej nieodpowiednich miejscach, kiedy normalny widz nie zauważał niektórych komicznych momentów, które zdarzały się na scenie. Tu królowali Dymśa, Krukowski, Tadeusz Olsza, Kwiatkowska, Janowska, Bielenia – mistrz w kreowaniu „kochającego inaczej”, który przyjechał z prowincji. Mieli taki numer, że są zespołem „Mazowsze”. Podczas występu przeprowadzali całą skomplikowaną intrygę wzajemnych zależności, zazdrości, wyprzedzania się w zdobywaniu aplauzu publiczności, wszystko w rytmie ludowych piosenek wspaniale parodiowanych przez wybitnych komików. Mogłem ich oglądać setki razy, a oni – wiedząc, że jestem na sali – improwizowali na gorąco coraz to bardziej abstrakcyjne i zaskakujące gagi. Byli jak każdy artysta zazdrośni o sukces innego. Podobno jak występował Dymśa i miał brawa na zejście, Olsza zamykał się w toalecie i w momencie, gdy rozlegały się brawa dla kolegi, spuszczał wodę, aby tego nie słyszeć. Było to zbyt bolesne. Jak bym chciał być takim artystą! Wściekłym, zazdrosnym, nienawidzącym każdego, kto jest młodszy, zdolniejszy, ma większe wzięcie u widzów. Ale jaka to była widownia! Dzisiaj, gdy widzę gęby rozwalone w uśmiechu z byle czego na tzw. kabaretonach, imprezach, programach telewizyjnych myślę, jak trzeba było ciężko latami pracować, aby na to zasłużyć. Ilu macherów od rozrywki przewinęło się na fotelach dyrektorskich we wszystkich gabinetach telewizji, estrady i... chciałem napisać radia, ale się w porę zatrzymałem.

Na rogu Marszałkowskiej i Litewskiej szpital dziecięcy. Mroczne wspomnienia szukania pomocy dla własnego dziecka. Te pary młodych małżeństw z zawiniątkami na rękach, zatroskane i bezradne, taksówki, karetki pogotowia, własny samochód. Choroba dziecka to nie żarty. Bezradność rodziców, nadzieja w lekarzu, szpitalu, przychodni, ludziach w białych fartuchach. Tam ciągle jest grany za zaciemnionymi oknami, ten sam dramat, który nie zawsze kończy się źle, młodzi rodzice są często przesadnie przerażeni.

Dzień. Kościół Zbawiciela, przed którym ślub, młoda para szczęśliwa, pełna nadziei, obsypywana drobnymi pieniążkami, aby im się wiodło bogato. Rodzice też szczęśliwi, dalekie kuzynki podniecone i mężczyźni wszyscy uroczyście w czarnych odświętnych garniturach. Para młoda stoi w świetle błyskających fleszy roztaczając niewinne uśmiechy. Nie nadąża ze zbieraniem monet i nagle z prawej strony między nich a gości i rodzinę wmaszerowuje tłum dresiarzy machając jakimiś kijami i sztandarami, rycząc: – Jebać Kraków, jebać Kraków, jebać... Idą na mecz: Legia – Cracowia. – Jebać Kraków...

Gmach Politechniki. Miejsce kongresów, zjazdów, bali reżimowych notabli... 56 rok. Tłum skanduje: – Na ambasadę!... Na ambasadę! – Ja razem z tłumem idąc ulicą Lwowską też krzyczę entuzjastycznie. – Na ambasadę!... Nie do ambasady, bo to by było na przyjęcie do amerykańskiej ambasady, która wtedy stała otworem dla wszystkich, ale na rosyjską ambasadę... Idziemy razem, dwóch potężnych chłopów obok mnie. Też krzyczą: – Na ambasadę! Biorą mnie pod ramiona i nagle skręcają ze mną w kierunku stojących niebieskich suk milicyjnych. Wylądowałem na komendzie na Wilczej, gdzie stale lądowałem, ale już zupełnie w innych sprawach.

Hotel MDM. Przed nim spotyka mnie facet o czerwonej zapijacznej twarzy. – Mam cię! Daj piątkę!... To przez was artyści jestem alkoholikiem. Pamiętasz mnie? Teraz nie. Byłem portierem w tym hotelu, do którego przyprowadzaliście te dziwki wy artyści. Dawaliście mi w łapę i z tego tak się rozpiłem! Natychmiast daj mi piątkę! Ty, aktorzy, i ten literat co

wynajmował apartament dla żony drugiego pisarczyka! Przez was teraz piję! Przez was! – Daję piątkę.

Komenda na Wilczej. Noc. Przechodzę przez ulicę w miejscu nieoznakowanym. Zatrzymuje mnie milicjant. – Dowód. – Nie ma obowiązku noszenia dowodu przy sobie. – Jak się nazywacie? – Kowalski. – Idziemy. Prowadzi mnie na Wilczą. Akurat jest mi po drodze. W komendzie: – Wyjąć wszystko, co macie przy sobie. Obok za przepierzeniem śledztwo. Do mojego milicjanta podchodzi ten z sąsiedztwa. – Przepraszam cię Stasiu. Pożycz mi pałki, bo moja została w samochodzie. – Bardzo cię proszę, Witku. – Podaje mu pałkę a ja wyjmuję z kieszeni wszystkie drobiazgi. Łup! Łup! Krzyk słyszę zza ściany. – Wszystko powiem, obywatelu sierżancie. Wszystko powiem. – Znow wchodzi ten sam milicjant. – Oddaję ci pałkę Stasiu, bardzo dziękuję. Pewnie będziesz potrzebował. – Pokornie zawstydzony wyciągam z kieszeni dowód osobisty, kładę obok leżącej na stole pałki. Posterunkowy nie oglądając go mówi do mnie: – A teraz wypierdalać, panie telewizorze!

Zmyłem się jak niepyszny.

Komis na rogu Nowego Świata i Chmielnej. Starzy warszawiacy go świetnie pamiętają. Komis ten był początkiem odwilży w latach PRL. Był taki sekretarz Komitetu Warszawskiego tow. Stefan Staszewski. Stał koło Gomułki na placu przed Pałacem Kultury, jak Gomułce sto tysięcy ludzi pomyłkowo śpiewało sto lat. Otóż ten towarzysz Staszewski szedł z żoną Nowym Światem i zatrzymali się przed witryną tego komisu z rzeczami zagranicznymi. Pośrodku lśniła biała koszula non iron. To było wtedy coś! – Może bym ci kupiła taką non iron, patrz jaka olśniewająco biała i nie potrzeba prasować. – Kupili. I poleciało! Jak koszula to i spinki, jak spinki to i krawat, jak krawat to i marynarka, spodnie buty, płaszcz, kapelusz. Jak tak wystrojonego towarzysza zobaczył Gomułka, który chodził w butach jeszcze przedwojennych, z miejsca Staszewskiego wyrzucił, zresztą głównie za pochodzenie. Ale dość tej wędrówki przez tamte lata. Odechciało mi się żreć te wspomnienia, bo jest tego góra, i nie chce mi się więcej wspominać.

Zatęchła przeszłość, przeszłości.

Kogo to obchodzi?

Jest taki szmonces żydowski:

– Panie doktorze, co to jest? Jak ja się tak najem na obiad, to nie mam później zupełnie apetytu.

Znikający stolik był ulubionym trickiem prestidigitatorów na całym świecie. W naszej historii takim magikiem były historia i czas. Znikające stoliki oddzielały jedną epokę od drugiej. Młoda historyczka amerykańska mimo że nigdy nie była w Ziemiańskiej w Warszawie przed wojną, gdzie królowali Tuwim, Słonimski, Iwaszkiewicz i cała grupa poetów i artystów „Skamandra”, precyzyjnie opisuje to, co tam się działo...

Po wojnie istniały stoliki w PIW-ie na Foksal. U Marca na placu Trzech Krzyży, w Spatifie słynny stolik z kompletnie zapomnianym Józefem Prutkowskim, wreszcie w „Czytelniku”, gdzie stoliki miały swoje historie, upadki, wzloty, zazdrości, nienawiści i pogardy.

Nie byłem obecny w tamtych czasach wśród ich gości, tylko sporadycznie wpadałem, jak miałem jakąś sprawę do Miry Michałowskiej, autorki „Wojny domowej”.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI